

# Dziś milionowe miasto Melbourne — kupione za 200 funtów

Słowa Melbourne wymawia od kilku dni świat cały z okazji niezwykłego wysięgu lotniczego Anglija — Australia. Melbourne to bardzo odległa strona, to najodleglejszy dla nas kraniec kuli ziemskiej.

Melbourne jest dziś szóstym, według wielkości, miastem brytyjskiego imperium. Posiada milion mieszkańców. A przed stu laty... Przecież poniekąd „najstarszy człowiek” pamiętać może, że tam szumiały puszcze eukaliptusów i stępy rozległe.

## Pierwszy Europejczyk

Istnienie swe Melbourne zawdzięcza pewnemu myśliwcowi, Betmanowi.

Betman mieszkał wraz z innymi zesłańcami na wyspie Tasmanji. Pewnego razu postanowili odwiedzić kontyngent australijski i przybyli do brzegu ujścia rzeki Jaarra. Miejsce to upodobał sobie Betman tak dalece, iż postanowił zamieszkać w niej na stałe. Australia należała do Anglii, ale ziemia na niej właściwie do nikogo.

## Za noże i topory

Oczywiście mieszkali na niej czarni tubylcy, nie stanowili jednak groźnej przeszkody w zamiarach aneksyjnych, nawet jednego — jednego białego człowieka. Betman nie wydzierał tubylem ziemi, na której dziś leży milionowe miasto Melbourne, ale odkupił ją od nich. Odkupił za noże i topory. Mając niejaki wyobrażenie o przepisach regulujących prawo kupna - sprzedaży, przygotował wielkie arkusze papieru, zredagował akt nabywczy i krajowcy kładli pod tym aktem swe hieroglify, znamionujące podpisy. Znaleźli się jednak niektórzy starzy wodzowie plemienia, którzy nie chcieli wyrzekać się własności.

Wtedy Betman sfalszował ich znaki na papierze. Później okazał im je i oświadczył:

— Moi wszechwładni bogowie, droga czarów, przenieśli wasze podpisy na papier. Nie możecie sprzeciwiać się ich woli.

Wodzowie natychmiast wycieli swe znaki na korze drzewnej, którą Betman przykleił do aktów. W ten sposób nabył przeszło 600 tysięcy akrów ziemi. Melbourne, miasto milionowe, stoi dziś na ziemi, kupionej podstępem, na mocy wyłudzonych, lub sfalszowanych podpisów.

Posiadłszy tak znaczny „majątek ziemski” za topory i noże, ogólnej wartości 200 funtów, Betman, dla tem większego umocnienia swych praw, ofiarował tubylcom jeszcze dobrowolnie 100 funtów mąki. Widocznie stać go było na taki „gest”.

## Drugi mieszkaniec

Pewnego razu opuścił na krótki przeciąg czasu swe posiadłości udając się na większą wyprawę myśliwską. Wrócił i — ożom swoim nie wierzy: Na jego własnej ziemi rozsiadł się inny biały człowiek, taki sam myśliwiec. Zbudował dom, ogrodził i mieszkał...

— Co to ma znaczyć?!

— Każdemu wolno. Ziemia niczyja — odpowiada John Foulner.

— To moja ziemia! — wrzasnął Betman.

Alle nowy mieszkaniec odpowiedział mu słowami, o znaczeniu mniej więcej takim: „mów do lampy”. Istotnie mówić nie było do kogo. Do firmamentu południowego nieba, do gwiazd, do puszczy, czy do tubylców? Jedyńm argumentem w takich wypadkach był karabin, ale Foulner też miał karabin. Klócili się długo, aż do grobowej deski i mieszkali w sąsiedztwie.

## Powstaje miasto...

Łatwiej poszło trzeciemu krajanowi, który przybył z Anglii w roku 1838. Wyemigrował z rodzinnej wsi, wraz z siedmioma synami i 33-ma mieszkańcami tej wsi, których potrafił nakłonić do swego planu. Wszyscy kiwali głowami z politowaniem, gdy kilkunastu śmiałków, objadło od brzegu na lichym stateczku. Popłynęli w świat, szukać szczęścia i przygód. Trafili do Australji. Trafili po latach wędrówki, nie, jak dziś, po dwóch dniach...

Już w roku 1835 u ujścia rzeki widniały wszędzie domy, zabudowania gospodarcze, po przestrzennych łąkach chadzały stadła bydła. Domy rosły jak grzyby. Miejsce to zaludniała się coraz bardziej. Jedni odsprzedawali drugiemu ziemię i zarabiali wielkie pieniądze.

Nagle w całą sprawę wdał się rząd. Okazało się w końcu, że ziemia nie należy wcale do Betmana i jemu podobnych awanturników, jak i nie należała do tubylców, lecz do... rządu angielskiego. Betman gotów był wypro-

wadzić rodowód swoich Australijczyków od stworzenia świata, czy też od małp czelkoształtnych i chciał dowodzić, że oni wpliwł posiadli tę ziemię, zanim anektował ją rząd brytyjski, że ma akta formalnie spisane na papierze, z pieczęciami z kory drzewnej. Ale władze brytyjskie nie chciały słyszeć o żadnych pieczęciach z kory drzewnej i kazały osiedleńcom zapłacić. Cena wyznaczona została oczywiście niska, ale mieszkańcy, ze względu na wielkie obszary musieliby płacić, nieraz po kilka tysięcy funtów.

## Rok 1836 — 5 tysięcy

Australia! — Bóg wysoko, król — daleko! Mieszkańcy odmówili kategorycznie uiszczenia pieniędzy za ziemię, mimo wszelkich gróźb i prośb rządu brytyjskiego. A zatem w r. 1836 rząd widział się zmuszonym dobrowolnie uznać nowopowstałe miasto Melbourne, które już liczyło 5 tysięcy mieszkańców.

Wydelegowano z Anglii burmistrza, który stał się niejako naczelnikiem i reprezentantem rządu jednocześnie. Jemu to dotychczas zawdzięcza Melbourne swój obszar teraźniejszy i ogólny plan miasta. On przewidując szybki

rozrost miasta, kazał wytykać szerokie ulice.

## „Złoty wiek” Melbourne

Przyszły rok 1851. „Złoty wiek” Melbourne. Złoty — bo odkryto złote żyły w ziemi. W ciągu czterdziestu lat akry ziemi podskoczył z 19 na 30 tysięcy.

W ciągu pół roku przybyło do Australji ponad 60 tysięcy poszukiwaczy złota. W ciągu zaś trzech lat, samo miasto wynosiło już ponad 30 tysięcy mieszkańców.

Do końca wieku dziewiętnastego liczba mieszkańców wynosiła już około pół miliona. Powstało wielkie, „europejskie” miasto. Sklepy, kina, teatry, banki, fabryki.

## Stuletni jubileusz

Niemniejszy rozrost znamionował wiek dwudziesty. Po trzydziestu czterech latach bieżącego wieku liczba ludności doszła do okrągłego miliona. Jest to dziś jedno z największych miast na świecie. Doszły oczywiście radio-stacje, lotniska, koszar, pałace.

Na obecne uroczystości stuletniego jubileuszu Melbourne zaproszona została Lady Mur, praw nuczka, z prostej linii Betmana, który kupił Melbourne za noże i topory.

## Watykan

# Wypuszczają nowe monety

Na mocy specjalnego układu finansowego, zawartego między rządem włoskim i Watykanem, przysługuje Watykanowi prawo wybitcia co roku pewnej ilości monet własnych. Podczas Roku Św. miały tak wielkie powodzenie wśród wiernych, że monety ogólnej wartości miliona złotych, bite w r. 1933, znikły prawie całkowicie z obiegu.

Monety watykańskie, zarówno drobniejsze, jak i jedno lirowe i wyższej wartości, mają prawo

obiegu we Włoszech i są przyjmowane narówni z monetami włoskimi.

Obecnie przysępuje Watykan do wybitcia w mennicy państwowej włoskiej w Rzymie monet brązowych i srebrnych, ogólnej wartości jednego miliona lirów.

Począwszy od roku 1935 Watykanowi przysługować będzie prawo bitcia monet własnych wartości 200.000 lirów rocznie

## Tort

## Wysokości 17 metrów

Melbourne obchodzić będzie w tych dniach uroczystości setną rocznicę założenia miasta. Jednym z „gwoździ” uroczystości będzie olbrzymi tort, który wystawiony został na widok publiczny. Tort ten mierzy 17 metrów wysokości i 32 metry obwodu. Zaszczepiona misja odkrajania pierwszego kawałka tortu - olbrzymia przypadnie ks. Gloucester.

## Rozprawa w schronisku 2 osoby ranne

W miejskim schronisku dla bezdomnych, na Annapolu, w budynku Nr. 12, wynikła bójka a następnie krwawa rozprawa. W wyniku, Władysław Mościcki, robotnik, który był pijany, otrzymał 3 rany tłuczone głowy, nadto Marianna Rogowska, robotnica, — otrzymała ranę kłutą szyi. Awanturę zlikwidowała policja, poczem Pogotowie przewiozło rannych do szpitala Przemienienia Pańskiego.

## Niezwykłe ocalenie Ks. arcybiskupa Pokrowskiego

W Vancouver, mieście portowym na zachodnim brzegu Kanady, jest arcybiskupem ks. Antoni Pokrowski. W grudniu ubiegłego roku wybrał się na małym statku węglowym, aby zwiedzić Alaskę. Pogoda była marna. Ogromne fale rzucały stateczkiem zaraz po odpłynięciu. Radzono arcybiskupowi, by powrócić, bo przeprawa jest bardzo niebezpieczna.

Koło wyspy Kodiak nastąpiła burza i statek pomimo największych wysiłków kapitana i załogi zatonął. Ponieważ przez kilkanaście dni nie było o nim wieści, ogłoszono w gazetach, że cała załoga utonęła. Ojciec św. w Rzymie otrzymał telegram, że arcybiskup Pokrowski również zginął w falach oceanu. Już pomyślano o mianowaniu następcy na stolicę arcybiskupią w Vancouver, gdy nagle rozesała się wiadomość, że arcybiskup został odnaleziony, że żyje i cieszy się dobrem zdrowiem.

Jakżeż to się stało? Oto, gdy statek zatonął, biskup i kapłan próbowali ratować się pływaniem. Kapłan był bardzo dobrym pływakiem i podtrzymywał

księdza arcybiskupa Pokrowskiego, gdy zaczęło mu braknąć sił. Walczyli tak z falami przez cztery godziny.

Gdy wydostali się na ląd, byli zupełnie wyczerpani. Zebrałi deski z rozbitych okrętów i zrobili sobie z nich rodzaj chaty. Potem zabrali się do poszukiwania żywności. Nie było tam niczego prócz marnych roślin, które przez kilka tygodni stanowiły cały pokarm dwóch kapłanów.

Szczęśliwie wyspa była pokryta warstwą śniegu, tak, że przynajmniej wody mieli podostatkiem. Nocami podtrzymywali ogień z belek i chrustu, aby zwrócić na siebie uwagę przejeżdżających oceanem okrętów.

Dopiero w styczniu wyładowali na miejscu ich pobytu łódź rybacka z Kanady. Na widok ratunku, kapłani ukłękli na brzegu morskim i gorącą modlitwą dziękowali Bogu za cudowne ocalenie.

Rybacy ugościli ich czem mogli, a przede wszystkim przygotowali czcigodnemu starcowi ogrzaną kabinę, gdzie mógł odpocząć po strasznych cierpieniach. Można sobie wyobrazić, z jaką radością witano w Vancouver ocalonego arcybiskupa.

## Sumatra

# Kraj ludożerców i człowieka-małpy

Do najmniej zbadanych i woli białego człowieka najmniej ulegających części świata należy wyspa Sumatra. Jest ona najbardziej na zachód wysuniętą wyspą położoną na Morzu Południowym Archipelagu Malajskiego. Europie najbliższa, Sumatra jest w swym wnętrzu jeszcze zupełnie nie badana, nie posiada żadnych dróg ani kolei żelaznych, jedynie ścieżki, znane tylko zwierzyńcy, gubią się w tysiącletnich lasach.

Sumatrę zamieszkuje szereg Batak, skupiający się głównie nad jeziorem Toba, uprawiający ludożerstwo i zwący sam siebie „łowcami głów”.

Batakowie nie chcą być robotnikami.

Plantatorzy muszą robotników sprowadzać z sąsiedniej Jawy, która już jest scywilizowana, uprawiana i podzielona na pola ryżowe i parki. Batakowie zaś nie chcą pracować dla białych.

Tubylcy na Sumatrze wierzą w Tendi, czyli drugie ja, „które stale we mnie zamieszkuje, gdy duchy bóstwa Begus nakłonią je do porzucenia mnie, wówczas umieram”. Wierzenia swe tak wysoko

stawiają, że 300 lat pracy misyjnej nie pozostawiło wśród nich żadnego śladu.

Batakowie, dzielący się na cztery szczepy, każdy w liczbie około 100 tys., byli łowcami głów i zjadali swoich wrogów. Bynajmniej nie z głodu, lecz z przekonania religijnego. Wierzą, że picie krwi ludzkiej czyni ich duszę odporniejszą na namowy Begus. Rząd holenderski oczywiście zakazał im zabijania i zjadania ludzi, lecz liczne czarownice i liczniejsi jeszcze kapłani potrzebują krwi ludzkiej, by się przygotować do „obcowania z duchami”. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że krew w czarkach ofiarnych kapłanów nie pochodzi od kozy lub owcy.

Dla dusz zmarłych przygotowuje się, jak to jest zresztą w zwyczaju u wszystkich ludów wschodu, a nawet w Japonji, łódzie z drobnymi wyrzeźbionymi z drzewa podobiznami nieboszczyków i puszcza się je z prowantem i z zapalonemi świecami na rzece lub na morze. Gdy światła pogasną, znaczy to, że dusze znalazły się już na drugim świecie.

Aczkolwiek Batakowie nie chcą pracować w plantacjach białych, na własnych polach są pilnymi rolnikami. Ryż, główne pożywienie, ma w ich wierzeniach także duszę i ulega zepsuciu, gdy dusza go opuści. Sadzenie, sprzątanie i magazynowanie ryżu odbywa się według uroczystego ceremonjału.

Młodzieńcy i dziewczęta upiłowują sobie zęby, ażeby nie być podobnymi do psów. Wskutek tego wyraz ich twarzy w późniejszym wieku staje się idjotyczny, co wskazuje uchodzi za znamię dostojności.

W dolinach żyją plemiona karłów, zwanych Kubu, żywiący się korzonkami i chrząszczami. Nigdy oni zapewne nie oglądali jeszcze słońca i siedzący w pełnym blasku. Tutaj siedzi bóg ma o rang-pendek, bajkowy „człowiek-małpa”. Rząd holenderski zakazał na niego polować, gdyż być może, byłoby to morderstwem.

## Podróżuj samolotem

## J. Jukowski

# MAŁY GARNIZON POWIEŚĆ

Ciemny, brudny peron dworca wileńskiego w Warszawie zapelniony był tłumem rezerwistów. Pociąg przypominał beczkę śledzi.

Przed wagonem drugiej klasy zęgnął się ppor. rez. Głanz z żoną, z synem Leszkiem, oraz z drugim dyrektorem „Poltanbenzu”.

— Dolciu, tylko ty uważaj się na siebie, broń Boże nie zaziębaj się — martwiła się pani Róża.

— Tatusiu, czy mogę prosić mamuszi kupić mi rower? — wykonywał okazję nieodrodny syn handlowca pana Glanza. Leszek kędzierzawy.

— Nu, a co nam da te dwa i pół procent? — kombinowali dyrektorzy. Dla nich times był zawsze money, a parę chwil do odjazdu trzeba było wykorzystać.

Ppor. rezerwy Bobek zęgnął się ze swoją flama, paną Lili.

Lili tuliła się do swego Lojzka. Nawiasem mówiąc, bardzo jej się teraz podobał Bobek w mundurze, a ona przepadała za wojskowymi...

Tylko profesora Hajduka nikt nie zęgnął. Żona, nauczycielka na wsi, nie skończyła jeszcze roku szkolnego, z kolegami nie żył blisko. Sam więc jechał, ale nie przejmował się tem. Przepelniała go świadomość spełnienia dziesiątego przykazania rezerwisty i to mu wystarczało. W wagonach trzeciej klasy panował nieopisany tumult i gwar. W oknach tłoczyli się rezerwiści i ochrypnięte-

mi od wrzasku głosami śpiewali: „Wojenko, wojenko!”  
— Wsiadać! Proszę siadać! — nawoływali konduktorzy i wypychali do przedziałów rezerwistów, którzy czepiali się pociągu, będącego już w ruchu.

## XI.

Wieczorem w kasynie czytał kapitan Mirek kolegom list od Daleckiego, który obecnie przebywał w wojskowym sanatorium w Zakopanem.

„Drogi Mirku! Ze słów moich wynioskujesz, jak się czuję. Jeśli chodzi o zdrowie, to jestem rekonwalescentem na ukończeniu, dzięki cudownemu wpływowi klimatu wysokogórskiego i zabiegom lekarzy. Ważniejsze jednak dla mnie jest moje samopoczucie psychiczne i nerwowe. Zdaje mi się, że sam odrodziłem, poprostu nie poznaje siebie. Jakby wraz z gorączką wyparował ze mnie zgnyli nastrój, wywołany miazmatami naszej nieszczęśliwej błotowskiej dziury. I przychodzę do przekonania, że jakkolwiek byłem dość mocnym człowiekiem, to jednak zmógł mnie Błotów. Prawda, dużo w tem i mojej winy. A skoro i Ty piszesz mi, że z trudem opierasz się zarazkom otoczenia, widzę, jak ciężkie są warunki, w których pracuje oficer rzucony rozkazem do małego garnizonu. Naprawdę żal mi Was tembardziej, że mnie tak dobrze tu. Nie potrafię Ci opisać, jak mi jest dobrze. Na to trzeba by Twego poetyckiego pióra, by należycie odmalować ten czarowny zakątek naszego kraju.

Trudno porównać te tam bagniste, smutne plaszczyny z cudem panoramy Tatr, z tymi lasami na zboczach gór, z temi łąkami rozrzuconemim jak wzorzyste kobierce, z tym błękitem nieba, tem słońcem wesołem... Gdybyś widział, jak to wygląda, kiedy zza

ośnieżonych jeszcze teraz wierchów słońce wita uśmiechem świat, gdybyś słyszał, jak śpiewają tu ptaki, jak dźwięczą o zmierzchu dzwonki owiec! A powietrze jakie tu płynie do płuć, jak orzeźwiający nektar, nie tak jak u nas, kiedy masz wrażenie, że lykasz watę. Cudowny zakątek i kiedy pomyślę, że trzeba wrócić tam... br. No, ale narazie nie myślę jeszcze o tem i raduję się. Jedno tylko psuje mi nastrój, a mianowicie ludzie. Sporo tu mężczyzn, którzy szukają okazji do flirtu, a panie nie od tego... Staram się jednak nie widzieć tego i czuję się, jak w raju.

Co słyszał u Was? Napisz mi, jak się sprawuje moja kompanja. Dla Was znowu gorący czas się zaczyna, rezerwa przychodzi i pewnie od rana do wieczora chodzą, jak w kieracie. Mam trochę wyrzutów sumienia, że w przeciwnieństwie do Was wiodę próżniaczy żywot. Cóż, kiedy lekarze nie puszczają mnie jeszcze. Pozdrów wszystkich kolegów serdecznie. A namów Tatarka, by tu przyjechał. Ścisłam Cię

Mirek skończył list, nie przeczytał tylko kolegom post scriptum, które brzmiało:

Mirku! Jedna prośba, której napisanie kosztuje mnie bardzo dużo. Gdybym miał ją ustnie wyrazić, pewnie nie przesłaby mi przez gardło. Wiesz, co mam na myśli. Nie dopuść, by Flączek... Jak strasznie się wstydzę, musisz wyczuwać... Więc sam się dorozum, o co proszę”.

— Nnntaaak! — odezwał się po przeczytaniu listu kapitan Tatarek — w góry, w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na ciebie!

Nagle wybuchł:

(D. c. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny) 6.36.62 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.53 (miejsczyniastowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.  
ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.  
PRZEDSIĘWZIĘCIA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Wrocław, Cyganka 26, tel. 136.  
PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 spalt): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wtył, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.